

Dumka ratuje życie

Stałem sztywno przywiązany za ręce i nogi do pnia sosny i patrzyłem szeroko otwartymi oczami na to, co się działo w leśnym obozie UPA sotni Łastiwki nad Horyniem. Normalne obozowe życie, wieczorem gwar rozmów i komend; gdzieś daleko nad ogniskiem wisiał kocioł, w którym widocznie gotowano kolację, bo smakowity zapach wędzonki docierał i do mego nosa. Drażniąc wygłodzony wielodniowym postem żołądek.

Znałem te okolice, ten las. W czasie długich wędrówek z ojcem, zapalonym wędkarzem, poznałem dobrze te strony wołyńskiego Polesia. Gdy ojciec „moczył kije” i godzinami wpatrywał się w nieruchomy splawik; mnie to nudziło, urywałem się więc i zwiedzałem okolice Horynia, rzeki mego dzieciństwa. Piękne to były strony, rzeka wiała się meandrami wśród wysokich urwistych brzegów, przeciętych gdzieniegdzie lesistymi jarami, dnem których krynice toczyły swoje krystalicznie czyste wody do rzeki. Na dalekich wzgórzach na horyzoncie widać było kurhany, „wysokie mogiły” usypane kiedyś dawno, dawno temu przez nieznaną lud, który żył tu przed setkami, a może i tysiącami lat. Czyni dalej na północ brzegi rzeki obniżały się i pokrywał je już niepodzielnie wielki las, który ciągnął się aż hen, do ujścia rzeki w bagiennych brzegach Prypeci.

Patrzyłem na znany mi las, ale myśli miałem niewesołe. Co mnie czeka? Co oni ze mną zrobią? Gorączkowe myśli tłukły mi się po głowie. Uciec, ale jak? Przywiązany za ręce i nogi nie miałem żadnych możliwości ucieczki, a kręcący się po obozie banderowcy rzucali mi od czasu do czasu złowrogie spojrzenia.

Ktoś dorzucił gałęzi do ogniska, ogień buchnął rozświetlając szeroki wokół krąg. Przy ognisku zaczęli gromadzić się uzbrojeni ludzie ze znakiem trójzębu na czapkach. Ubrani w rozmaite mundury czarne, ukraińskiej policji swego czasu pod dowództwem Niemców, niemieckie feldgrau, węgierskie koloru cegły, a nawet khaki, zielone mundury polskiej przedwrześniowej armii. Uzbrojenie też było rozmaite: polskie i niemieckie Mauzery, sowieckie Mosiny, a nawet krótkie włoskie karabinki.

Przy ognisku robiło się coraz tłoczniej i gwarniej. Po kolacji, wśród siedzących kołem wokół ognia mężczyźni krążyć zaczęły gęsto butelki z samogonem, a gwar rozmów zagłuszał nawet moje myśli. W pewnej chwili rozmowa zesłała na mój temat. Nastawiłem uszu.

- Co komandir chce z nim zrobić, z tym Laszkiem? - zastanawiano się.
- Pewnie poigramy z nim - zgadywano.

Dreszcz przeszedł mnie po plecach, widziałem te banderowskie igraszki w spalonych polskich

wsiach i osadach na Wołyniu. Sam diabeł nie wymyśliłby okrutniejszej śmierci niż strilci UPA. Widziałem ludzi porąbanych, palonych i rozdzieranych za pomocą dwóch przygiętych drzew, A co mnie czeka?

A wpadłem tak głupio. Niemcy rozwiązali w 1941 roku wszystkie szkoły. Młodzież zatrudniano wszędzie, gdzie wymagały tego potrzeby maszyny wojennej okupanta. Dostałem skierowanie do drużyn roboczych niemieckiej poczty i telegrafii. Stawiałem więc wraz z innymi słupy telefoniczne, naciągałem łączące je druty, a gdy wojna partyzancka rozpalila się na dobre, jeździliśmy co dzień z miejsca na miejsce łątać poczynione przez partyzantów szkody. Tych przybywało lawinowo z dnia na dzień, nadeszły więc tygodnie, gdy matka widywała mnie w domu raz na jakiś czas.

Było upalne lato 1943 roku. Niemcy mieli władzę już tylko w mieście. Na prowincji UPA, radziecka i polska partyzantka panowały niepodzielnie, sabotaże na wielką skalę były już na dziennym porządku. Nie zdziwiło więc nas, gdy już kilometr za miastem wzdłuż linii kolejowej Równe - Kiwerce, leżące telefoniczne słupy uświadomiły nam, jaka robota nas czeka.

Pod osłoną oddziału żandarmerii niemieckiej, stawialiśmy zerżnięte słupy, łączyliśmy druty od świtu do zmierzchu. Gdy zapadła noc niemiecki dowódca zdecydował, że śpimy w obwarowanej stacyjce, której kilkunastoosobowa, wojskowa załoga, nocą nie wysuwała nosa poza palisadę i pole minowe obwarowania.

Noc minęła spokojnie, od świtu znów wzięliśmy się za robotę. Dokuczał głód. Chleb, który wzięliśmy z sobą został już wczoraj zjedzony, od rana zaczęliśmy więc post, a pracować trzeba ciężko było. Pytałem naszego vorarbeitera Niemca, Heinza Krasę z Górnego Śląska, kiedy dostaniemy coś do zjedzenia. Zbył moje pytanie milczeniem, on też zjadł wczoraj swoje ostatnie sznitki. Cały dzień pracowaliśmy głodni, a gdy nadszedł wieczór w następnej warownej stacyjce dostaliśmy kubek niby herbaty i poszliśmy spać. Ciężkie są sny o głodnym żołądku, sen długo nie przychodzi, a potem głód budzi co chwilę.

Na trzeci dzień to samo. Kubek gorącej wody i do pracy. Czulem, że słabnę, zaciskałem zęby, a ciemne plamy na przemian z jasnymi latały mi przed oczami. Pilnujący nas oddział żandarmerii niemieckiej też był głodny, słyszałem jak kleli na tego, kto nie mógł, czy też zapomniał dostarczyć im żywność.

Okolo południa ustaliliśmy z głodu całkowicie, robota praktycznie stanęła. Nie mieliśmy sił i wtedy Kraska zwrócił się do nas:

- A daleko do wsi?
- Niedaleko, kilometr może półtora - odpowiedziałem.
- Wieś Horodyszczce nad Horyniem - dodałem.

Była to letniskowa przed wojną wieś, do której tłumnie zjeżdżali letnicy Równego. Wielki wysokopienny las ciągnął się już kilkanaście kilometrów, zbliżaliśmy się już do mostu kolejowego nad rzeką Horyń.

Kraska pomyślał chwilę, podrapał się w głowę, spojrzał na nas i zapytał:

- A może zdobędziemy tam coś do jedzenia? Kto na ochotnika pojedzie ze mną?

Spojrzelśmy po sobie, chętnych nie było, wielkie lasy to ulubiony teren partyzantów, we wsi na pewno stacjonują, a dostać się w ich ręce, wrogowi nie życzę.

Milczenie trwało dłuższą chwilę, głód skręcał nam kiszkę, w brzuchu burczało. Kraska czekał cierpliwie, w końcu znów spytał:

- No, to kto jedzie?

Podniosłem rękę, jeszcze jeden straceniec zgłosił się za chwilę.

- No, to gut - mruknął nasz szef. - Na samochód i jedziemy.

Ruszyliśmy ostro z miejsca, ale gdy ciężarówka wjechała głębiej w las przyhamował, stanął, wyłączył silnik i zawołał nas do szoferki,

- Znacie to, pierony? - spytał pokazując na niemieckie granaty ręczne, z długimi drewnianymi trzonkami, tzw. „tłuczki”.

- Znamy! - odparliśmy zgodnie.

- No, to patrz pieronie - dodał.

- W razie potrzeby odkręć te zakrętkę, pociągnij za kółeczko na sznurku, odlicz do pięciu i rzucaj. Macie tutaj po dwa.

Chowając „tłuczki” za pasek spodni, poczułem się trochę pewniej, strach odleciał gdzieś, byłem przecież uzbrojony. Wóz ruszył, pędziliśmy po leśnej drodze, trzymając się kurczowo uchwytów w kabinie. Po chwili byliśmy na miejscu, wóz zahamował gwałtownie na szerokiej drodze, na skraju wsi. Kraska został w wozie nie wyłączając silnika, ja w jedną, kolega w drugą stronę, rzuciliśmy się biegiem do najbliższych chat.

Wpadłem do chaty gwałtownie otwierając drzwi, przy stole siedział stary chłop i palił fajkę, na stole leżał olbrzymi bochen chleba. Porwałem chleb i nim chłop potrafi otworzyć usta pędem wybiegłem z chaty, rwąc po drodze wielki kawał z bochna i pchając do ust.

Jakieś krzyki słysząc było w głębi wsi. dobiegłem do drogi i zdrętwiałem. Samochodu nie było, zobaczyłem tylko na zakręcie kurz i znikające auto. Kraska uciekł. Gdy posłyszał głosy komendy we wsi zostawiając mnie na łasce losu.

Buchnęły strzały, nie było sekundy do stracenia, spojrzałem kątem oka w prawo, wiejską ulicą biegło w moim kierunku kilkunastu uzbrojonych ludzi. Chleb wypadł mi z ręki. Ruszyłem pełnym biegiem słysząc tu za sobą sapanie biegnących i krzyki:

- Stij! Stij!

Kula gwizdnęła mi nad głową. Biegłem z wysiłkiem, trzydniowy post dawał znać o sobie, słabłem i wtedy przypomniały mi się granaty. Pociągnąłem za kółeczko „tłuczka” i nie odwracając się

rzuciłem w dół, na drogę za siebie. Eksplozja, świst odłamków i chwila wahania goniących dały mi sekundy przewagi, rwałem więc dalej jak zając, gdy nagle spostrzegłem, że w gorączce ucieczki pomyliłem drogę, nie biegłem drogą od wioski do kolei. Pogoń nadciągała, słyszałem tupot nóg i trzask gałązek w lesie pod butami ścigających. Ci chcąc mnie osaczyć rozsypali się po lesie, a głosy ich dobiegały już z kilku stron. Biegłem ostatkiem sił ściskając w rękę drugi „tłuczek”, w końcu stanąłem i rzuciłem go z rozmachem w kierunku skąd dobiegało najwięcej głosów.

Biegłem dalej, dobywając już resztki sił, czerwone platy z wysiłku latały mi przed oczami i w chwili, gdy zdawało mi się, że zgubiłem już głosy goniących potknąłem się o wystający korzeń i runąłem jak długi w piach drogi.

Chciałem podnieść się, gdy uderzenie kolbą karabinu w głowę rozciągnęło mnie znów na ziemi. Straciłem przytomność, gdy po chwili usiłowałem podnieść się, potężny kopniak w bok zwałił mnie znów na ziemi. Chwila ciszy i ryk:

- Wstawaj!

Uświadomiło mi to w czyjej jestem mocy. Podniosłem się z trudem. Wokół mnie stała gromada uzbrojonych mężczyzn w czarnych mundurach z szarymi kołnierzami i mankietami i znakiem tryzuba na furazerkach.

A więc trafiłem najgorzej, w ręce nacjonalistów z Ukraińskiej Powstańczej Armii, zwanych też banderowcami od ich wodza Stepana Bandery lub bulbowcami od legendarnego dowódcy kozaków zaporozskich Tarasa Bulby. Byle tylko nie męczyli, przebiegło mi przez głowę, byle nie męczyli. Banderowcy zastanawiali się chwile. Dwóch związało mi z tyłu mocno ręce, jeden z nich trącił mnie lufą karabinu w plecy i ryknął:

- Stupaj!

Szliśmy dłuższą chwile drogą w wysokopiennym sosnowym lesie, aż w dali zaślnęła wstęga wody. Zdawało mi się, że rozpoznaje to miejsce z mojej rybackiej włóczęgi z ojcem, wkrótce wyszliśmy na brzeg rzeki, gdzie wśród stuletnich sosen stały namioty obozu.

Naprzeciw nas wyszedł wysoki mężczyzna w czarnym mundurze z niemieckim pistoletem maszynowym, zawieszonym na pasku. Przyglądał mi się chwile uważnie i spytał:

- Ty chto?

Nie zdążyłem otworzyć ust, gdy z boku rozległ się głos.

- To Lach, ja jeho znaju.

Spojrzałem w stronę mówiącego i też go poznałem. Był to Charczuk, chłopak z mojej ulicy, z którym kiedyś razem kopałem szmacianą piłkę na łące.

A więc rozpoznano mnie, nie mam już żadnych szans. Wysoki, jak zorientowałem się. Dowódca oddziału, nazywali go komandir, zastanowił się chwile, w końcu spytał:

- Niemiecki znasz?

Gdy potwierdziłem przyniósł z namiotu jakieś papiery i rozkazał:

- Tłumacz!

Przejrzałem papiery, były to jakieś polecenia i rozkazy pisane w języku niemieckim, od komendanta garnizonu w Równem dla podległego mu garnizonu w Kostopolu - w sumie nic ważnego. Znałem dobrze oba języki: niemiecki i ukraiński, tłumaczyłem więc płynnie, Komandir wyjął z kieszeni ołówki i notatnik i zapisywał niektóre zdania. Gdy skończyłem, polecił przywiązać mnie do grubej sosny w środku obozu. Struci wykonali rozkaz gorliwie, przywiązując mnie mocno do drzewa.

Było pogodnie letnie popołudnie. Po błękitnym niebie płynęły jak baranki chmurki, znajoma rzeka szumiała w dole. W przedwieczornej godzinie las ucichł i tylko słodki brzęk owadów zakłócał ciszę. W obozie ruch ustał. Dwa oddziały banderowców odmaszerowały w dwie przeciwne strony, straż obozowe też drzemały, jedynie siedzący przed namiotem komandira wartownik zerkał na mnie od czasu do czasu złym okiem i groźnie szczełkał zamkiem karabinu. Stałem związany, w to sielankowe letnie popołudnie i koszmarnie myśli kłębiły mi się pod czaszka. Rozpoznał mnie, a więc nie mam żadnych szans, żadne kłamstwo ich nie przekona, pozostaje śmierć, byle mnie przedtem nie torturowali, W chwili, gdy czarne myśli doprowadziły mnie już na skraj obłędu, nagle jasna myśl, jak strzała mignęła mi w głowie, słowa matki mojej: „Synu, gdy śmierć zajrzy ci w oczy, gdy zwątpisz już we wszystko, westchnij do Pana Boga, on cię me opuści w żadnej potrzebie”.

Ulżyło mi trochę, w końcu zmęczony głodem i bólem rozbitej głowy, popadłem w jakiś półsen, w półomdlenie. Nie słyszałem, co dzieje się wokół. Ocknąłem się dopiero, gdy zapach gotowanego mięsa uderzył w moje nozdrza.

Ognisko płonęło, jego blaski odbijał się od złotych pni sosen, coraz to ktoś banderowców podchodził i zaglądał mi w oczy, raz drgnąłem, gdy zobaczyłem te oczy, tego też znałem. Do diabła! Dwóch znajomych banderowców w jednym oddziale to trochę za dużo - pomyślałem z humorem. Tragizm mojej sytuacji był nie do pozazdroszczenia.

Przy ognisku gwar narastał. Ktoś przyniósł narodowy ukraiński instrument i zaczął na nim brzdąkać, a w końcu grać. Znajoma melodia, znajoma dumka, znałem ich setki, gdy włącząc się z ojcem po brzegach Horynia słuchałem je w ukraińskich wsiach, gdzie ojciec mój miał wielu znajomych. Bandurzysta grał coraz głośniej, ktoś usiłował śpiewać fałszywym, pijackim głosem, lecz prędko towarzysze uciszyli go. Tęskna melodia dumnia brzmiała w całym obozie, aż cieleła gdzieś w głębi lasu i wsiąkała w nabrzeżne oczerety. Stałem jak oczarowany, zapomniałem o bólu, o głodzie, a gdy nowa dumka popłynęła nad ogniskiem, zaśpiewałem pełnym głosem:

- Tani de Jatrań kruto wjetsia, Zpid kamienia bje woda, Tam diwczyna wodu brała, Czarnobrywa mołoda...

Rozmowy przy ognisku ucichły, zaległa absolutna cisza, w końcu wybuchł gwar, jak gdyby piorun uderzył w ognisko. Jeden z banderowców zerwał się od ogniska, podbiegł do mnie uderzył w twarz i ryknął:

- Mowczy, proklatyj Lasze!

Zamilkłem, cisza zapadła też przy ognisku, wreszcie odezwał się komandir.

- Ty dumnyj Iwan, chaj śpiwaje.

Ktoś podszedł do mnie i rozwiązał sznury. Upadłem na ziemię zdrtwiałym. Podniesiono mnie i doprowadzono do ogniska, posadzono i kazano śpiewać.

- Isty - poprosiłem. - Ja, hołodnyj.

Ktoś położył przede inna kromkę chleba, ktoś inny kawałek słoniny, ktoś podał manierkę z samogonem. Towarzystwo czekało cierpliwie, aż zjem i napiję się. Otarłem wierzchem dłoni usta. Spojrzałem na bandurzystę, który siedział jasno oświetlony płomieniem ogniska i dusza uciekła mi w pięty, po drugiej stronie siedział z bandurą w ręku Wołodka. Przyjrzałem mu się dobrze. Tak, to był Wołodka, syn znajomych mego ojca ze wsi Oleksin. Gdzie nocowaliśmy z ojcem w czasie naszych wędrowek. Gdy zjawiliśmy się w ich chacie, po sutej zazwyczaj kolacji, syn gospodarzy brał ze ściany bandurę, grał, a ja śpiewałem. Pół wsi schodziło się słuchać naszych popisów.

- Poznał mnie czy nie poznał? - zastanawiałem się gorączkowo.

Los zdarzył, że spotkaliśmy się w tak niecodziennych okolicznościach. Przy ognisku wybuchł spór co mam śpiewać, w końcu komandir zdecydował.

- Chaj spiwaje o Jatrani i diwczyni.

Hej diwczyno ty szcześnie wtebe bat'ko maty je.

Rid wetykij chata biła,

a szczo w chati wse twoje.

A ja bidnyj bezprydannyj step szyrokiy ceż mij swat.

Szabla, lulka wsią rodyna, sywyj konyk ceż mij brat,

A potem dumka o Sahajdaczyni, o kozaku co jechał na wojnę, o czumaku z Krymu, co sól woził po Ukrainie i którego śmierć dopadła w szczerym polu i o brzozie białej, która płacze nad kozacką mogiłą i wiele innych, aż w końcu ochryłem.

- Daj jomu horilki - poleciał bandurzysta.

Ktoś podał manierkę, pociągnąłem duży łyk i błogie ciepło rozlało się po całym ciele i świat trochę poweselał. Groźne twarze rezunów trochę złagodniały, nie patrzyli już na mnie tak wrogo jak przedtem. A gdy odpocząłem komandir spojrzał na mnie i spytał:

- A wirszy znajesz?

- Znajii - odparłem i zacząłem recytować poezję Szewczenki:

Jak umru ja pochowajte mene na mohili, sered stepu szyrokocho na Ukraini myłyj. Potem recytowałem wiersze Łesi Ukrainki, Iwana Franko i innych mniej znanych poetów. Towarzystwo patrzyło na mnie i słuchało zadumane, co też ten Lach potrafi. Byłem dla nich absolutną zagadką. Lach czy me Lach? Czort jeha znaje?

Kury zapiały gdzieś w dalekiej wsi zwiastując północ, a ja mówiłem i mówiłem wiersze, widząc w oczach tych bezwzględnych morderców blask melancholii i zadumy, w końcu podniósł się komandir i zdecydował:

- Idemo spaty.

Obóz ucichł, przywiązano mnie znów do drzewa, ale już nie tak mocno i boleśnie jak przedtem. Stałem chwile zamyślony, a gdy zorza na wschodzie oznajmiła nadchodzący koniec nocy, usnąłem i ja. Pierwszą rundę walki o życie wygrałem.

Obóz obudził się wcześniej. Rozpoczęła się normalna obozowa krzątania, czyszczenie broni, jedzenie śniadania, kąpiel w rzece... A ja stałem zdrętwiały, zapomniany przez Boga i ludzi. Bandurzysta Wołod'ka przyniósł mi kawałek chleba i kubek wody. Mrugnął do mnie porozumiewawczo, przyłożywszy palec do ust szepnął:

- Mowczy.

A więc choć jedna życzliwa dusza w tym wrogim obozie; trochę lżej zrobiło mi się na sercu. Po śniadaniu komandir zarządził musztrę. Niski, pękaty czatowyj (plutonowy) uczył strzelców tajników wojskowego rzemiosła, ataku, odwrotu, walki wręcz; zaczęli też ćwiczyć marsz defiladowy. Przyglądałem się temu uważnie, łowiąc uchem każde słowo, wywnioskowałem z całego tego zamieszania, że banderowcy czekają na kogoś, że szykują jakieś święto.

Nie omyliłem się. Po południu przybył jakiś nowy oddział. Uroczyste powitanie dowódców, defilada, wspólna kolacja przy ognisku suto zakrapiana samogonem, a gdy alkohol rozwiązał języki - coraz głośniejsza rozmowa. Nowy oddział widocznie przybył z akcji, bo do uszu moich zaczęły dochodzić opowieści o spalonych w stodole mieszkańcach wsi polskiej Dąbrowa pod Rokitnem; o mordowanych w wymyślny sposób Polakach, a także Ukraińcach, którzy nie chcieli iść zabijać. Pełnym oburzenia głosem banderowiec opowiadał o likwidacji dziewięciosobowej rodziny ukraińskiej i o chłopie ukraińskim, który uderzył wchodzącego banderowca siekierą, wyrwał mu pistolet maszynowy i bronił się do ostatniego naboju.

W obozie robiło się coraz głośniej. Zabrzmiała harmonia, a strilci puścili się w tany z przybyłymi z pobliskiej wsi dziewczynami. Kilkanaście par tańczyło trepaka, hopaka, kozaka, sentymtalne tango. Znajoma dziewczęca twarz mignęła mi w tłumie. Jeszcze ktoś znajomy? Przyjrzałem się dobrze. Tak. to była Wiera, moja szkolna sympatia. Niemożliwe, czyżby los tak postanowił zadrwić ze mnie przed śmiercią? Błysk w jej oku uświadomił mi w pewnej chwili, że i ona mnie poznała.

Wspomnienia, jak błyskawice przemknęły mi przez głowę, przecież to tak niedawno - rok, dwa lata temu. Gdy latem 1941 roku Niemcy opanowali Ukrainę, miejscowe władze ukraińskie zaczęły organizować szkoły, matka moja mówiąca doskonale językiem ukraińskim zapisała mnie do technikum budowlanego. Tam znalazłem się sam oprócz jednej koleżanki pół Polki, pół Łotyszki, która to swoje pochodzenie skrzętnie ukrywała przed Ukraińcami. Kilku z nich było dobrymi kolegami, ale wielu gdy rozszyfrowali mnie, że jestem Polakiem zaczęło mi dokuczać. Broniłem się jak mogłem, ale siła złego na jednego. Do szkoły szedłem co dzień z myślą, co mnie dziś złego spotka od moich kolegów? Obmyślałem zemstę, a los sam podsunął mi okazję. W młodszej klasie uczyła się Wiera, piękna dziewczyna, do której wzdychało pół szkoły, bezskutecznie, co wiedziałem, bo po kilku słowach Wiera odwracała się od moich miłych kolegów i odchodziła. Umizgi moich kolegów były na ogół prymitywne i prostackie i właśnie na tym polu dojrzałem szansę dla siebie i okazję do zemsty.

Poszło jak z płatka, uśmiechnąłem się, powiedziałem kilka miłych słów i umówiłem się z Wierą. Pod pretekstem pomocy w rysunku technicznym, w czym byłem mocny, Wiera zaprosiła mnie do siebie, mieszkała u ciotki. Wkrótce pierwsze młodzieńcze, wiosenne uczucie buchnęło jak płomień. Myślałem o niej w dzień i w nocy.

Razem szliśmy do szkoły i razem wracaliśmy, każda wolną chwilę spędzaliśmy ze sobą. Ciotka, która mieszkała w mieście długo, nie była źle nastawiona do Polaków i patrzyła na nas z uśmiechem częstując herbata z wiśniowymi konfiturami.

Mijały miesiące, a myśmy patrzyli w siebie jak w tęczę. Chodziłem czasami w niedzielę z Wierą do prawosławnej cerkwi. Jedno nabożeństwo utkwiło mi szczególnie w pamięci; na święto Jordanu. Cerkiew była pełna ludzi, na dworze zamieć i mróz, gdy z procesją udaliśmy się nad rzekę, tam w przeręblu na pamiątkę chrztu świętego Jana, kąpał się jakiś mężczyzna, potem znów z procesją wróciliśmy do cerkwi. Trwało to parę godzin. Gdy wróciłem do domu mama długo rozcierała mi śniegiem skostniałe z zimna nogi. Nasza sympatia nie uszła naturalnie uwadze kolegów.

- Proklatyj Lach - urągali.

- Zganiał nam najładniejszą dziewczynę w szkole.

Czasy były coraz bardziej niespokojne. Mnożyły się napady i morderstwa na Polakach. Gdy w końcu dyrektor szkoły, zagorzały nacjonalista, na lekcji patrząc na mnie oświadczył, że nadszedł czas rozrachunku z Polakami, dreszcz przeszedł mnie po plecach. Nie mam tu więcej nic do szukania - pomyślałem. Wkrótce potem szkołę rozwiązano. Młodzież skierowano do pracy, uczniowie ze wsi wrócili do swoich domów.

Smutne było pożegnanie z Wierą. Płakaliśmy oboje obiecując sobie, że odnajdziemy się, gdy to się wszystko uspokoi. I odnaleźliśmy się, tylko w jakże tragicznych dla mnie okolicznościach.

Obóz bawił się. Tańczono, śpiewano do późnej nocy. Gdy zapadła ciemność, zmorzeni tańcem i

samogonem strilci padali i zasypiali pijackim snem, gdzie kto stał i siedział. Ognie przygasły, tylko chóralskie chrapanie zdradzało śpiących. Wartownik przed namiotem komandira też widocznie dobrze popił, bo głowa opadała mu ciągle, jedynie od czasu do czasu obrzucał uśpiony obóz mętym wzrokiem.

Zacząłem drzemać i ja, cichy poszum lasu uspokoił i mnie. Nagle do moich uszu dotarł szmer skradających się kroków, chwila niepewności i poczułem, że ktoś delikatnie przecina z tyłu moje więzy. Zerknąłem na wartownika przed namiotem, ten spał zwiesiwszy głowę. Za chwile więzy opadły i cichy szept dziewczęcego głosu dotarł do mnie.

- Utikaj.

To była Wiera. Odczekałem chwilę.

Wartownik przy ognisku podniósł głowę, popatrzył po obozowisku i ponownie zasnął. Nadeszła moja chwila, powoli przesunąłem się w cień drzewa, krok po kroku zacząłem skradać się ku rzece.

Kilkadziesiąt kroków, tylko kilkadziesiąt kroków... Strach popędzał, rozsądek nakazywał ostrożność. Szedłem powoli, co kilka kroków stając i natężając słuch. Szum rzeki zdawał się być najpiękniejszą muzyką, tam wolność, tam życie, tam zbawienie. Wstrzymując oddech podszedłem na brzeg, spodziewałem się tu wartownika, ale widocznie banderowcy uznali, że nie grozi im z tej strony niebezpieczeństwo i dlatego piaszczysty kawałek brzegu wśród trzcin był wolny, przywiązana do pala łódka kołysała się łagodnie na fali.

Obmacałem ostrożnie łódkę - była pusta, wiosła na niej nie było, odwiązałem ją od pala i powolutku zepchnąłem na nurt rzeki. Pogoń mi już z tej strony nie groziła. Obejrzałem się za siebie, obóz spał, słaby blask ogniska oświetlał tylko nisko pnące sosny. Przeżegnałem się i zanurzyłem w chłodną toń rzeki. Płynąłem powoli, nastawiając uszy, ale gdy porwał mnie główny nurt, przyspieszyłem.

Była piękna, sierpniowa noc. Wygwieżdzone niebo lśniło nade mną, a ja płynąłem wolny jak ryba i każdy ruch ciała oddalał mnie od strasznej męczeńskiej śmierci. Poczułem się jak nowonarodzony, a Horyń - ukochana rzeka mojego dzieciństwa niosła mnie jak matka dziecko do łóżka, do wolności.

Nagle prąd rzeki przyspieszył, podniosłem głowę i rozejrzałem się uważnie. W mdłym świetle gwiazd dojrzałem niedaleko przed sobą, po prawej stronie wysoki, urwisty brzeg. Ostatnia chwila, parę sekund później mogłem się znaleźć w samym środku niebezpiecznego wiru, który tworzy rzeka na zakolach pod wysokimi, urwistymi brzegami. Kilka energicznych ruchów ciałem i ominąłem szczęśliwie niebezpieczne miejsce, wielu nieuwważnych śmiazków płaciło za nieuwagę, czy też brawurę życiem, w talach miejscach, Horyń to piękna, ale niebezpieczna rzeka. Odpłynąłem już spory kawałek, może dwa, może trzy kilometry, gdy w obozie huknął strzał, po nim drugi, trzeci... A więc zauważono już moją ucieczkę. W którą stronę uda się pogoń? Mimo woli przyspieszyłem, mogą mnie szukać we wszystkich stronach świata, choć brak łódki może im podsunąć ślad. Bystry prąd rzeki niósł mnie szybko, widziałem to po przesuwałających się brzegach, należało płynąć jak najdalej, bo brzegiem rzeki

mogła nadejść pogoń.

Niebo na wschodzie pojaśniało, srebrzysty blask na fali zwiastował nadejście pogodnego dnia, nad rzeką unosiła się lekka mgła i to mi przypomniało, że mam jeszcze jedno zagrożenie przed sobą - most. Kilkanaście kilometrów od obozowiska banderowców był most drogowy, pilnie strzeżony przez Niemców, człowiek płynący rzeką mógł być dostrzeżony i zastrzelony, bezbronny jak kaczka. Czułem już zmęczenie, przyspieszyłem jednak, chcąc we mgle minąć most, za każdym zakolem rzeki wypatrywałem go pilnie, modląc się w duchu o mgłę.

Dojrzałem w końcu ten most, wznosił się wysoko nad wodą, strzeżony przez bunkry po obu przyczółkach. Mgła opadała już powoli, gdy znalazłem się blisko niego, na szczęście na brzegach nie było posterunków. Płynąłem, niesiony tylko prądem rzeki, każdy nieostrożny ruch mógł mnie zdradzić, a seria z karabinu maszynowego z tej odległości - śmierć pewna.

Plusk wody o filary mostu uświadomił mi, że połowę niebezpiecznej przeprawy za sobą, zaczerpnąłem więc głębiej powietrza w płuca i dalej pozwoliłem się nieść bystremu prądowi, aż most zginął za zakolem rzeki. Odpłynąłem jeszcze kilka kilometrów i wyszedłem na zarośnięty trzciną brzeg. Słońce weszło już i ogrzało moje zziębnięte ciało, szczękałem zębami i dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że dotychczas tego nie czułem, w walce o życie takie drobne szczegóły nie liczą się. Za chwilę odezwał się i głód, od wczoraj rana nie miałem nic w ustach.

Odzież parowała na mnie, a ja gorączkowo zastanawiałem się co dalej, w którą stronę teraz, by uniknąć tek niemiłych spotkań. W tych okolicach banderowcy grasowali rzadziej, tu miała swoje rejony radziecka partyzantka, czasami polska. Miałem dość już spotkań, chciałem dotrzeć do domu, do matki, która już pewnie oczy po mnie wyplakuje.

Zastanowiłem się jeszcze raz, według mojej orientacji byłem około dwudziestu kilometrów od Równego, do szosy miałem lasem około czterech kilometrów. Postanowiłem tam dotrzeć. Ruszyłem przez młody, liściasty las, zatrzymując się co chwila i nadsluchując. W sosnowym lasku dojrzałem czarne jagody, do których dopadłem, rwąc dwoma rękami i pchając do ust, dziś jeszcze czuje ich rajski smak i zapach.

Zapomniałem o wszystkim, także i o ostrożności, gdy nagle przede mną, przetarłem oczy, wyrósł żołnierz polski. Tak, w pełnym umundurowaniu żołnierz polski z orzełkiem na czapce i odezwał się do mnie po polsku:

- Co ty tu robisz?

Oniemiałem, banderowcy też używali czasami takich podstępów, gdy za chwile za drzew wyszło dalszych kilku żołnierzy, odzyskałem mowę, strach i napięcie ubiegłych dni, znalazłem ujście - ryknąłem płaczem. Na płacz, stary podoficer z trzema belkami na naramiennikach poklepał mnie po ramieniu:

- Jesteś wśród swoich. Mów jak się nazywasz i jak się tutaj znalazłeś?

- Dobrze, ale dajcie jeść, dawno już nic nie jadłem - poprosiłem ocierając łzy.

- Opowiem wszystko.

Poprowadzili mnie w głąb lasu. Nad rzeczką, w starym grabowym lesie stało kilka szałasów, nad ogniskiem wisiał kocioł, w którym smakowicie bulgotało. Kawałek chleba ze słoniną i łyk samogonu przywróciły mi mowę i pewność siebie. Dowódca z oznakami kapitana na mundurze wysłuchał mojego opowiadania i zadał kilka podchwytliwych pytań. Mogłem być przecież banderowskim agentem, ale gdy powiedziałem mu, jak nazywał się kierownik w szkole powszechnej nr 3 w Równem uznał, że mówię prawdę. W końcu zapytał czy pamiętam nauczyciela o nazwisku Hlond.

- Naturalnie - odparłem. - Uczył polskiego.

I teraz dopiero rozpoznałem mojego belfra z powszechniaka. Tak, to był on. Po chwili też i on mnie poznał. Zastanowił się chwile i zapytał:

- Słuchaj, a ile ty masz lat?

- W grudniu skończę szesnaście - wyznałem szczerze.

Kapitan popatrzył krytycznym okiem na moją wątłą posiac i mruknął:

- Na partyzanta to ty za młody i pewnie za słaby - dodał.

- Odeślemy cię do mamy

Figurę miałem rzeczywiście mizerną, w domu tylko na kartkowym wikcie, a teraz jeszcze po prawie tygodniowym ścisłym poście.

- Wyśpij się mały, po tych wszystkich przejściach dobrze ci to zrobi – zdecydował kapitan.

- Tam masz wolny szałas - wskazał ręką.

- Kładź się i śpij.

Zagrzebałem się w pachnące siano, nakryłem jakąś derką i zasnąłem. Obudziłem się, gdy ktoś trącił mnie w ramie.

- Wstawaj, ruszamy - trącił mnie jeszcze raz, gdy przecierałem zaspane oczy.

- Melodię do spania to ty masz, spałeś ponad trzydzieści godzin - dodał.

Było już popołudnie, burza i ulewny deszcz przeszedł niedawno nad ziemią, bo drzewa i trawa lśniły od wilgoci. Przespałem ponoć burze z piorunami nie mrugnawszy nawet okiem.

Oddział stał gotowy do odmarszu. Pluton dobrze ubrany, częściowo w przedwrześniowe mundury wojska polskiego, częściowo w angielskie w battle - dresy, prezentował się okazale, broń tylko mieli z uzbrojenia wielu armii. Na jednym z wozów dojrzałem przykrytego sianem sowieckiego Maxima. Wojskową dyscyplinę i porządek widać było na każdym kroku. Podniosło mnie to na duchu, po tylu latach od wrześniowej klęski znów widzieć wojsko polskie, a więc „Jeszcze nie zginęła”. Ruszyliśmy na północ, jak zorientowałem się po słońcu, szliśmy długo, coraz bardziej grząskimi drogami. Piękny wysokopienny, sosnowy las ciągnął zda się bez końca. Teren był coraz bardziej

podmokły, idąc czasami po zielonym dywanie mchu czułem mlaskanie wody pod moimi bosymi nogami (moje buty zostały w banderowskim obozie).

Gdy noc zapadła, rozbiliśmy obóz na jakimś suchym pagórku. Każdy, potwornie zmęczony kładł się na mchu i zasypiał natychmiast. Plutonowy i tym razem nie zapomniał o mnie, przykrył mnie derką, noce w sierpniu bywają chłodne.

Nim słońce uniosło się ponad lasem znów byliśmy w drodze. Szliśmy cały dzień. Krajobraz zmieniał się. Sosnowe lasy ustępowały miejsca liściastym, a zarośnięte szuwarami bagna zwiastowały, że to już Polesie.

Trzy dni wędrowałem stale z polskimi partyzantami przez bezdroża i bagna Polesia, w końcu dowódca uznał, że mogę wracać do domu. Byliśmy w pobliżu linii kolejowej, bo kilkakrotnie do moich uszu dotarł daleki gwizd parowozu. Pożegnałem się z dowódcą i z plutonowym, który polecił mi ukryć się w gąszczu, odczekać godzinę, po czym pójść ledwie widoczną ścieżką przez bagna, miałem nią trafić na stacyjkę kolejową obsadzoną przez Niemców.

Zrobiłem wszystko, jak mi kazał. Wychodząc z lasu dojrzałem z dala budynek stacji, otoczony wysoką palisadą, i zasiekami z drutu kolczastego, nad palisadą górowała wieża strażnicza. Niemcy jak oka w głowie strzegli linii kolejowych. Po obu stronach toru las wycięty był na kilkaset metrów, a do każdego zbliżającego się do toru człowieka strzelali bez uprzedzenia. Widziałem jak zabito chłopca, który szukał zaginionej krowy. Zastanawiałem się chwilę, wreszcie śmiało, choć z duszą na ramieniu, wyszedłem na otwartą przestrzeń i ruszyłem w kierunku stacyjki. Strażnik z wieży dojrzał mnie, dobrze widziałem jak obrócił w moja stronę karabin maszynowy i wziął mnie na celownik. Dreszcz przeszedł mi po placach. Strzeli czy nie strzeli? Widział mnie jak na dłoni, mały ruch palcem i... przy brzegu bym utonął.

Szedłem dalej już śmieiej, jeżeli w pierwszej chwili nie strzelił to może już nie strzeli. Gdy podszedłem pod bramę, z góry rozległ się głos:

- Woher (skąd)?

- Jestem robotnikiem Deutsche Post - krzyknąłem.

Widziałem jak żołnierz podniósł słuchawkę, porozmawiał z kimś, skrzypnęła wielka, sklecona z bali brama i wpuszczono mnie do środka. Za chwilę stanąłem przed podoficerem, który przyjrzał mi się uważnie i spytał po niemiecku:

- Kto jesteś? Co tu robisz?

Opowiedziałem dokładnie swoje dzieje z ostatnich kilku dni, nic nie wspomniałem naturalnie o polskich partyzantach. Podoficer wyjął mapę, patrzył na nią dłuższą chwilę, pokręcił głową i mruknął:

- To kawał drogi odwaliliś lasami, chłopie. Co ty jadłeś?

- Jagody panie unteroficerze i zioła leśne - odparłem.

- Ale, po co tak daleko szedłeś? - wskazał palcem na mapę.
- Chciałem oddalić się jak najdalej od banderowców i zabłądziłem.
- A nie natrafiłeś na polskich, albo sowieckich partyzantów, pełno ich w tych lasach, widzisz jak mieszkamy tu?
- Nie, nie natrafiłem.

Podoficer pomyślał chwilę, podniósł słuchawkę i połączył się z Równem. Chwila czekania, krótka rozmowa i odłożenie słuchawki.

- Pojedziesz pierwszą drezyną do miasta - mruknął.

Za godzinę zatrzymała się na stacyjce opancerzona dreżyna, uzbrojona w ciężki karabin maszynowy, w której kilku żołnierzy patrolowało tor kolejowy. Zabrałem się z i wieczorem zapukałem do drzwi mojego domu. Otworzyła mi matka, padłem jej w ramiona, trzymała mnie długo w objęciach, Poczułem jej łzy na swoich policzkach, po chwili spytała:

- Wracasz synku chyba z tamtego świata?
- Tak mamó, wracam z tamtego świata i spotkałem tam nawet wielu znajomych.

MMW